Lwów, 26. Czerwca. Nr. 75. Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek*, *Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesieczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełka pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycinv mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za na stęp. po 1½ kr. i zadopłate 10 kr. stępl. zakażdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

Pobyt Najjaśniejszego Pana we Lwowie.

W sobotę z rana odbyły się manewra z piechotą i artylerją za Janowską rogatką. Najjaśniejszy Pan raczył sam kierować różnemi ewolucyjami, które odbyły się z nadzwyczajną precyzją. Mianowicie artylerja dała dowody wielkiego wyćwiczenia we wszelkich obrotach swoich, i w szczególnej szybkości z jaką działa stawały na pozycyi, i po odprzodkowaniu dawały ognia.

Wieczorem był polski teatr paré, zaszczycony bytnością Najjaśniejszego Pana. Ułożony był stosowny obraz z żywych osób: Przywitanie, przedstawiający rozmaite charakterystyczne stroje polskie.

Około dziesiątej udał się Najjaśniejszy Pan w towarzystwie Najdostojniejszego Brata swego na górę Franciszka Józefa, gdzie jak mówiliśmy w poprzednich numerach przyjął łaskawie ofiarowaną mu przez obywateli stanowych herbatę. Najjaśniejszy Pan z Bratem oba ubrani w mundurach ułańskich, objechali naprzód wolnym krokiem całą przechadzkę oświetloną we wszystkich partjach swoich. Oświetlenie te było nadzwyczaj rzęsiste i z wielkim gustem wykonane. Od samego już wjazdu przez dawną bramę tryumfalną pozawieszone były po obu stronach mnogie lampy, i tworząc niejako ulicę gwiazd, przyjemny oku sprawiały widok. Dalej ciągnęły się w transparentach tarcze z herbami wszystkich prowincyi cesarstwa Austryackiego, a od czasu do czasu występywały to słupy, to piramidy gorejące światłem. Wzdłuż innych ulic rozmaite inne były transparenta, z których główniejsze: Orzeł Cesarski z stosownemi napisami, wjazd króla Kazimierza w obrazie kolosalnoj wielkości, równie jak i obraz Flisa na łodzi i t. d. odznaczały się pięknem wykonaniem, i bogatem oświetleniem. Prócz tego co krok prawie zdybać można było rozmaite odmiany; tam wieńce wiszące z lamp różnobarwnych, tu znowu piramidy ogniste, partery jakby z kwiatów, ułożone z różnobarwnych lamp mniejszego rozmiaru wznoszących się coraz wyżej nito w klombie jakim; a wśród tego ślicznie wydawały się po klombach i murawach na ziemi poustawiane lampy w liczbie prawdziwie niezliczonej. Najjaśniejszy Pan objechawszy przechadzkę w około, towarzyszony szczeremi okrzykami zgromadzonego ludu, które wraz z odgłosem dwóch band wojskowych rozegały się po całej górze, raczył zwrócić się ku głównemu budynkowi, to jest do kawiarni tym razem przeistoczonej i urządzonej na przyjęcie Najjaśniejszego gościa. Ta część parku była rzeczywiście jakby zupełnie nowa, jakby cudem wyczarowana, a oświetlona z przepychem i gustem niezwyczajnym. . Na samym wjeździe tej części wieńcem lamp kolorowych od reszty ogrodu oddzielonej, była brama tryumfalna z samego mchu zielonego w smaku gotyckim, wykonana lekko, doskonale, i z prawdziwym gustem. Za bramą po obu stronach były jakby płoty z lamp uplecione na których końcu występował fronton kawiarni i wieża na niej oświetlone z wielką rozrzutnością: wyglądały też jakby ubrylantowane gwiazdami. Przed frontonem slicznie zrobiona stała piramida gdyby marmurowa, z cyfrą Najjaśniejszego Pana, a całe wielkie półkole, zawieszone było wieńcami kwiatów, lamp i zieloności, z pomiędzy których występywały białe posążki rozmaite wydające się doskonale w tem otoczeniu. Na przeciw frontonu był znowu rodzaj wielkiego otwartego namiotu; cały także w świetle, przeznaczony był dla zaproszonych gości, którzy też zapełniali go tłumnie, w dalszej nareszcie perspektywie unosił się orzeł cesarski otulający skrzydłami swemi herb Galicyi wykonany w ładnym bardzo transparencie.

Skoro tylko Najjaśniejszy Pan wszedł na salę przerobioną i przystrojoną do niepoznania, jakby sala pałacówa odezwała się trzecia muzyka z rznętych i dętych instrumentów złożona, która wykonywała rozmaite utwory muzyczne to ciszej to głośniej rozchodzące się po całej przestrzeni, co rzeczywiście sprawiało miłe bardzo wrażenie. Od czasu do czasu wylatywały z dala przygotowane naumyślnie race, które do nadzwyczajnej wznosiły się wysokości, jakby i tam chciały przenieść oświetlenie na ziemi zaczęte. I nagle okazały się z łona ciemności występujące nowe światła różnobarwne, wydające się w dali jakby w powietrzu zawieszone. Były to: ratuszowa wieża w różnobarwném świetle: obie cytadele z bengalskiemi ogromnemi przed sobą ogniskami, i najwyższa wieża św. Jura, jakby piramida gwiazd.

Najjaśniejszy Pan zabawiwszy przeszło pół godziny odjechał przy odgłosie mnogich wiwatów którym wtórowała muzyka wojskowa najstosowniej. bo odegraniem hymnu ludu. Po odjeździe Jego Cesarskiej mości, to miejsce dla ścisku zupełnie oddzielone, zostało otwarte, aby lud zebrany mógł się z bliska przypatrzeć wszystkim oświetlenia

szczegółom. Wszystkie aleje do późnej nocy zapełnione były licznemi tłumami; tak że prawdziwie zdawało się jakby całe tam wylało się miasto.

W niedzielę o godzinie dziewiątej z rana Najjaśniejszy Pan przyjechał wraz z Najdostojniejszym Bratem Swoim do archikatedralnego kościoła na nabożeństwo, o którem w przeszłym już wspominaliśmy numerze. U drzwi głównych kościoła czekali już JEx. Arcybiskup, całe duchowieństwo, obywatele stanowi, urzędnicy i t. d. Obywatele miejscy przeprowadzali Najjaśniejszego Pana tam i nazad pod baldakinem. Przez całą mszę celebrowaną przez Arcybiskupa, Najjaśniejszy Pan klęczał na urządzonym przy tronie klęczniku.

O drugiej z południa dawał Najjaśniejszy Pan prywatne posłuchania, w których słyszeliśmy o jednem podaniu przedłożonem w języku polskim. Najjaśniejszy Pan dowiedziawszy się, że osoba prosząca innego nie umie języka, raczył rozmawiać z nią po polsku. Nastąpił potem obiad pożegnawczy, tym razem liczniejszy niż zwykle; było bowiem bardzo wielu zaproszonych gości, z stanowych obywateli, wojskowości, duchowieństwa i innych urzędów. Po obiedzie Najjaśniejszy Pan odwidził brata, i z nim sam na sam przechadzał się po ogrodzie, poczem pojechali razem na przechadzkę na górę Franciszka Józefa, bez adjutantów, i bez wszelkiej nawet służby. O pół do dziesiątej wieczorem raczył Najjaśniejszy Pan ubrany w mundur półkownika dragonów odwidzić strzelnicę, w której jak to już w poprzednim numerze oświadczyliśmy, na pamiątkę pobytu Jego Cesarskiej Mości, zaczęło się strzelanie cesarskie, od nocnego strzelania. Najjaśniejszy Pan pięć razy wystrzelił, i każdym razem trafił w tarczę, która lampami obok stojącemi bardzo dobrze była oświecona. W ogóle oświetlenie tak wewnętrzne i zewnętrzne, równie jak i ulicy na strzelnicę wiodącej i bramy tryumfalnej, uskutecznione było z pięknym gustem. Skoro Najjaśniejszy Pan się pojawił spalono przygotowane już sztuczne ognie, i zatlały ognie bengalskie.

Zabawiwszy pół godziny na strzelnicy, zastał już Najjaśniejszy Pan tę część wałów przy pałacu namiestnikowskim rzęsiście i ładnie oświeconą. I zaraz stanęło pod balkonem towarzystwo muzyczne, i chórem podwójnym, bo męzkim i kobiecym, odśpiewało bardzo ładną kantatę. Na zakończeniu zapalono znowu sztuczne i bengalskie ognie. Przez cały czas odzywały się nieskończone wiwaty i serdeczne okrzyki, na które Najjaśniejszy Pan raczył odpowiadać uprzejmemi ukłonami.

Wczoraj o godzinie 6tej z rana Najjaśniejszy Pan odjechał ze stolicy naszej do Złoczowa, gdzie pierwszy wypadał nocleg. Mimo ogromnego deszczu liczne zgromadziły się tłumy, by raz jeszcze widzieć i pożegnać ukochanego Monarchę; a co więcej, Najjaśniejszy Pan nie zważając na deszcz ulewny, wyjechał w otwartym powozie, aby zrobić przyjemność zgromadzonemu ludowi, i łaskawemi obdarzyć go ukłonami pożegnawczemi. Przy rogatce wystawiona była brama tryumfalna, przy której czekali na Najjaśniejszego Pana z pożegnaniem, prezes magistratualny na czele wydziału, i licznie zgromadzonych reprezentantów gminy.

Przez sobotę i niedzielę Jego Cesarska Mość raczył zwidzać wszystkie urzęda, zakłady wojskowe i cywilne i t. d. i wszędzie dopytywał się o najdrobniejsze szczegóły, z prawdziwie monarszą i ojcowską troskliwością. Przez cały przeciąg pobytu Najjaśniejszego Pana wytrwała najpiękniejsza pogoda, a deszcz, który zaczął padać równocześnie prawie z odjazdem Monarchy, był niejako odbiciem powszechnego żalu stolicy naszej za odjeżdżającym.

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

VI.

JULJA.

(Ciąg dalszy.)

Było to właśnie w tem bezkrólewiu jego władz moralnych, gdy sucha nauka nie zadawalała jego duszy gorącej, gdy stare, sklecone jej formy poczęły się łamać i rozpadywać jak wyschła glina. Widząc powoli upadający gmach pracowitej swojej mozaiki, zabolał w duszy nieszczęśliwy młodzieniec, a nieznając dla niej ukojenia, wpatrywał się z rezygnacją w jej ranę otwartą, którą upływał strumień jego życia. Jak ów mędrzec — poganin popatrzał z obojętnością na uchodzący potok krwi z żył otworzonych, z takim spokojem spoglądał uczony młodzieniec na ubiegły swój żywot, na zapisane stosy sinego papieru i na otaczający go świat, z którym żadnej nie miał styczności, podczas gdy za każdem uderzeniem pulsu ubywało mu marzeń swobodnych i złocistych jego nadziei. Przebył on całą teoryi krainę wszerz i wzdłuż, wyrozumował sobie najsubtelniejsze uczuć odcienia, nawiązywał do nich zdarzenia zmyślone i fantastyczne, dramatyzował je i opowiadał; badał powody i szukał skutków, i kazał sercu być logicznem, jak jego książka szkolna, jak wykład professora.

Piszącemu wiersze i prozę zdawało się, że pisze z natchnienia, że wylewa na papier żywe uczucia bijącego serca, gdy on tymczasem pisał z fantazyi i wyobraźni w której odbijały się jak w szkle połamanem w tysiączne nowe kształty, znane do sytu obrazy, wyczytane z książek i tylko niezgrabnie skompletowane do chaotycznej nowości. Lecz ta łudząca, na zimno grzejąca go fantazya poczę-

ła dzisiaj słabnąć i to w miarę, gdy oniemiałe dotąd serce poczęło odzyskiwać swoją mowę: i niezrozumiałą dotąd stylistyką dyktować mu swoje prawa zapoznane. Sztuczną nauką karmiona fantazya opuściła go, a serca swego dotąd niezrozumiał. Wszedł więc w jakieś dziwne bezkrólewie władz moralnych, a od najbliższego zdarzenia zawisło, któréj z tych władz poruczy swoją przyszłość.

Zdarzenie to nastąpiło w ogrodzie jezuickim, a chociaż odbyło się śmiesznie i po dziecinnemu, rozstrojony umysł młodzieńca pochwycił je ze strony jak najpoważniejszej, jakiej nawet może w niem nie było.

Bolejącemu na sercu i duszy, rozdraznionemu cierpieniem rzeczywistem i wymarzonem, wyłączonemu od towarzystwa ludzkiego, i tylko wewnętrznem życiem żyjącemu młodzieńcowi, zdało się nagle, iż głos, który za sobą zasłyszał, był głosem z nastroju jego własnej duszy, i z nim zlał się w jedną wielką mile dzwięczącą harmonią. Zdawało mu się, że takiego dźwięku jeszcze nigdy nie słyszał, ale że go pragnął nieustannie, i nieustannie odtąd za nim tęsknił!..

W istocie, zastanawiając się nad potęgą wrażeń, musimy je podzielić na różne stopnie według pojedyńczych naszych zmysłów. Wiadomo jest, że nie wszystkie nasze zmysły działają jednakowo. Dusza zatem przyjmując wrażenie przez pośredniczące jej zmysły, wybiera z nich zmysł najdoskonalszy, i w nim potęguje całe swe życie. Chcąc się upostaciować, wchodzi albo w piękne kształty zewnętrzne, albo wyraża się przez ruch harmonijny, lub zlewa się dźwiękiem głosu, któremu nadaje przenikliwość prawdziwie duchową, i wyraz całego swego piękna.

Taki to dźwięk głosu miała Julia, a kto go raz zasłyszał, tęsknił długo za nim, jak za melodyą, która bezpośrednio trącała o żywe struny duszy. Ten to głos przenikający, w którym wyrażała się cała potęga duszy pięknej i tkliwej, uderzył w rozranione serce uczonego poety i uczynił na nim nieznane dotąd i tak głębokie wrażenie, że ani ironia jego towarzysza, ani następna śmieszność szczególnego jego wypadku, ani naoczna niestosowność takiego afektu, datującego się od prostego przypadku, niemogły jego siły osłabić, broń boże zupełnie go zatrzeć.

Co Julią do tej pustoty w ogrodzie jezuickim spowodować mogło, łatwo jest odgadnąć. Nie było w tem żadnej sympatyi ani antypatyi, ale prosta, dziecinna rozpusta, która tymczasem w systematycznej i logicznej głowie biednego poety wielkiego narobiła nieładu. Widząc bowiem przed sobą jakiegoś przygarbionego, do obdartej książki przykutego studyoza, a nie mogąc go ani chichotaniem ani głośnym śmiechem od kart bibulastych odwrócić, by na nim doświadczyć wrażenia swojej postaci, pochwyciła jego zagubione *excerpta* i genialną ręką naszkicowała ową szpetną głowę, i napisała ową próbkę zasłyszanej konjugacyi łacińskiej, która pochwycona logiką odurzonego jurysty utworzyła w jego głowie dziwny systemat porozumienia się kochanków. Że późniejsze zapoznanie się ich przez antykwarza Berka obojgom dało do myślenia wiele, chociaż nie w jednym i tym samym sposobie, rozumie się samo przez się, bo każdy dziwaczny przypadek wart jest chwili namysłu i zastanowienia się. Lecz myśli te były u nich zupełnie różne.

Młodzieniec, jak widzieliśmy, przyjął to wrażenie na serio, i uczynił je epoką swego życia. Myślał i marzył o niém, a dziwny zbieg okoliczności zapoznał go z osobą, której nie znał, a do niej wzdychał; widział w tem jakieś przeznaczenie fatalizmu. Wszystko to kwadrowało wybornie do wyczytanych z książki powieści, a uznając sam swoje położenie wyjątkowe, uczuł się godnym roli bohatera powieściowego. Więc przypadkowe to zejście się z Julją uważał za naturalne założenie poczynającej się powieści, której końca dzisiaj jeszcze nie przeczuwał, ani o nim myślał. Według wszelkich reguł zdawało mu się jednak że cały ciąg i rezultat tej powieści będzie zawsze jakaś idea rozumna, jaka zawiera się w każdej książce, podobnej treści. Uczony z książki ułożył już tym sposobem naprzód swoje życie w format książki, a jeżli dzieło to z jego strony wymagało niejakiej czynności, to chyba dla tego, aby w osnowie tej książki poczynić należyte rozdziały.

Siedząc naprzeciw pięknej, to razą nader poważnej dziewicy, poczuł, że potęga przyciągająca działa silnie i nieustannie na jego chore serce. Nie widział on jej twarzy ani postaci, bo się lękał tego widoku, jakby ócz Meduzy; a zresztą po tem, co w niej poznał i przeczuł, taką drobnostką wydały mu się przymioty jej ciała, że gdyby miała twarz najszpetniejszą i postać nieudolną, młody nasz teoretyk byłby ją pokochał z tym samem zapałem, z jakim dziwaczny syn Albionu wciskał pierścień na marmurowy palec prześlicznej Afrodyty. Ta między niemi zachodziłaby tylko różnica, że ten rozkochał się w zimnym marmurze ze względu na jego piękne kształty, tamten zaś krom duszy tkliwej, która się przez dzwięk głosu wyrażała, nie myślał wcale o jej szacie zewnętrznej.

Julii zaś przedstawił się biedny poeta nader śmiesznym w pierwszem swojem wystąpieniu, lecz rozmawiając z matką, tyle nabył u niej szacunku i powagi, że ta, udzielając córce uwag swoich, starła z jej pamięci tę śmieszność nieszczęsną, i nastroiła jej umysł do wrażeń tak poważnych, jakie wywiera nań każda wyższa nauka. To też przy pierwszem widzeniu się z nim siedziała Julia arcypoważnie za stołem, i przysłuchiwała się z uwagą i nie bez przyjemności uczonym wykładom swego nauczyciela. Wiedziała ona doskonale, jakie wrażenie uczynił jej widok na zakłopotanym juryście, a widząc w nim zawsze niepospolitą powagę nauki, cieszyła się w duchu, że jej urok mógł tę powagę zachwiać, i z ponurego literata uczynić wzdychającego A-

donisa. Biegłe i genialne jej oko odgadło wkrótce, co się dzieje w duszy młodzieńca, a oznaki te były często tak widoczne, że musiała użyć najdowcipniejszych swoich wybiegów, aby w obec matki ten dziwaczny stosunek ukryć przyzwoicie.

Obok elegancko wystrojonej panienki wyglądał w prawdzie biedny literat arcyniezgrabnie tak co do ubioru jak i ruchów swoich; ale na to uważać Julia nie miała jeszcze sposobności. On siedział przed nią za stołem, a ona słuchając go, patrzała tylko w twarz jego na której połyskiem błyskawicy migały tysiączne odcienia światła i kolorów, jako skazówki uczuć, przenikających jego duszę i serce. A ta twarz, na którą patrzyła i cała głowa przedstawiały dla siebie wykończony typ piękności męskiej, w której wyrażała się jeszcze piękniejsza dusza i serce tkliwe. Jego słowa, tryskające jak kaskada rubinów i pereł, i ten głos miły, pełen jakiejś harmonii dzwięczącej echem tylu chwil wymarzonych, prześnionych, głos, w którego kilku tonach malowały się dzieje duszy zbłąkanej i dzieje uczuć, marnie i bez celu doznanych; wszystko to nie zostało bez wpływu na młodocianym umyśle kapryśnej nieco i rozpustnej, lecz w gruncie serca dobrej i lubej jedynaczki. A gdy do tego ujrzała, że biedny młodzieniec, mimo całej swej nauki i uczoności, nie mógł się dłużej ogarniającemu go wrażeniu oprzeć, i cała jego wyższości potęga widocznie łamać się i upadać poczęła, Julia uczuła mimowolnie pewny rodzaj przychylności dla nieszczęśliwego, i gdyby nie matka, słuchałaby z wielkim udziałem i nie bez zadowolenia najszczerszej młodzieńca spowiedzi. Ale na to nie zezwalała przyzwoitość, więc cały swój udział mogła tylko przez to okazać, że odchodzącego młodzieńca do drzwi odprowadziła, i póty za nim patrzała, póki tenże na zakręcie schodów z jej oczu nie zniknął.

Po odejściu Roberta rozmawiały długo o nim matka z córką, a gdy pierwsza chcąc swojej córce przydać podniety do rozpoczętej nauki, zaczęła się unosić nad światłym młodzieńcem i jego wyższe wykształcenie jej na wzór przedstawiać, Julia milczała uporczywie, dziwnie zadumana.

VII.

NIESZCZĘŚCIE.

Nie słusznie zarzucają społeczności ludzkiej. że w niej mieszka duch, co wiecznie przeczy i burzy. W różnej postaci wyobrażano sobie tego ducha negacyi, a każdy wiek miał dla niego osobne szaty. Z razu był on barbarzyńcą, niewiernym, potem odszczepieńcem, kacerzem, antychrystem, a w końcu stał się demagogiem i zasiadł na lewych ławkach w izbie obrad sejmowych. Taka niestałość wyobrażeń każe nam powątpiewać o rzeczywistem istnieniu tego ducha negacyi, a jeżli kiedy coś podobnego żyło, to nie żyło życiem własnem, ale było skutkiem choroby społecznej. Społeczność bowiem ludzka tak silnie lgnie do tego, co istnieje, że nawet nieszczęścia mają dla niej pewny urok, z którym się niechętnie rozstaje. A tym duchem wiecznej negacyi nie jest kto inny, jak czas złośliwy i bezecny, który nie pomnąc na prace kilku wieków, na zamki i dyplomata, na zasługi minione i marzenia na przyszłość, wszystko wali i równa jak geometra-niwelator. Daremnie sarkamy na przewrotne zasady pojedyńczych ludzi, na idee utopijne, na dziwaczne systemata anarchii i bezrządu, wietrzymy spiski po ciemnych kątach uspołecznienia; gdy tymczasem znany ów malifikant, brodaty czas-demagog, przechadza się swobodnie po naszych ulicach, zagląda do komnat, potężnym kłębem dymu okopca klejnoty, kiepskim szychem świecące, zaciemnia blask urodzenia i zasługi, podpala i niszczy mienie, truje nadzieje i marzenia, a machając niestępioną kosą, rozściela szeroko swoje pokosy. Czasami tylko i to bardzo rzadko zatrzyma się, uszczknie kwiatek pełen woni i zaniesie go do arki historyi, z którą jedynie przyjazne zawarł przymierze. Czasami obok kwiatka lub perły nadybanej podejmie i małą poczwarkę, i ją dorzuci do arki, nie dla woni lub blasku, ale na wieczną jej hańbę.

Taki to nieujęty w łańcuchy bulwersator, ów »Abydon exterminans«, antychryst, demagog i wieczny malkontent depcze pojedyńczych, całe rody, narody i mocarstwa, a jeżli z pod jednej takiej stopy wybucha czasem powódź i kwitnące Sodomy zaleje «m o r z e m ś m i e r c i», to z pod drugiej stopy może wytrysnąć zdrój wód żywota, jak z kopyta końskiego wytrysnęły wody Karlsbadu, w których społeczność swoje zastarzałe leczy choroby.

Owóż ów Saturn-bulversator dotknął był swoją fatainą stopą pana parku i pałacu, a jeżli przez wzgląd na jego sztukę pływania nie zalał go morzem śmierci, to zalał go natychmiast morzem istot żyjących, bardziej natrętnych, nizeli były myszy Popiela. albo szarańcza Mojżesza. Jak bowiem niegdyś Faraon, trapiony przez Mojżesza szarańczą i innemi muchami musiał nakoniec zrzec się się części swojej potęgi i naród ujarzmiony z niewoli wypuścić; jak niegdyś bajeczny nasz król Popiel przed podobnemi natrętami nadaremnie śród wody ukryć sią usiłował: tak samo nieszczęśliwy pan Kalasanty otoczony stadem natrętniejszych niż myszy i szarańcza wierzycieli, ujrzał się nagle nad przepaścią, której dawniej nie chciał widzieć.

Zaprawdę był to nader smutny rozdział w życiu pana «parku i pałacu», a wynurzylibyśmy mu naszą serdeczną kondolencyą, gdyby był na to życiem swojem zasłużył. Schodzącemu z widowni panów sprawilibyśmy rozczulający nekrolog, gdyby społecznie zamordowany pan Kalasanty był przyzwoitym obywatelem kraju, pomocnym sąsiadem, i przykładnym ojcem; gdyby danego mu od Boga i dziadów

swoich mienia, nie był roztrwonił w niepohamowanej dumnie wyrównywania najpierwszym kraju magnatom; gdyby kontentując się zakresem zamożnego szlachcica, nie był dla swoich dżieci sprowadził księży szwajcarskich i wysłużonych z Paryża Loretek; gdyby dla fantazyi niebył uganiał po wodach zagranicznych, gdzie mu więcej chodziło o rozrzucenie pieniędzy z ostentacyi, niżeli o nabycie sił fizycznych; gdyby wreszcie więcej był myślał o pługu i o roli, co go żywiła, niżeli o parku i szarej kolumnadzie stojącej sierotą w okręgu mil dziesięcu; ale że żadne z tych fatalnych „g d y b y“ w skład jego państwa wejść nie chciało, więc i my przeto nie widzimy potrzeby, rozczulać się nad upadkiem tak znakomitego domu.

Inaczej jednak o tym upadku mawiał pan Kalasanty Według jego logiki głównym powodem upadku wszelkich „większych majątków“ była żyjąca jak kret demagogija i złodziejskiego pochodzenia socyjalizm, który podówczas zaczął już we Francyi pod różną postacią, uchwałą swoją głowę podnosić. A chociaż z Francyi do gór Karpackich ta sama co i dziś istniała przestrzeń, której jeszcze nie skróciły ani szatańskiego wymysłu telegrafy, ani szalona para wodna; chociaż utopie zachodu nie dosięgały dotąd jeszcze polskiej atmosfery, i tylko po rzadkich. zagranicznych tłukły się dziennikach: właściciel jednak pałacu o szarej kolumnadzie na podnóżu gór Karpackich, rezonował z wielką decyzyą, że propaganda nowożytna, pokłóciwszy patryarchalny dziedzica stosunek, wprowadziła była stan włościanski na drogę reform, które wreszcie spowodowały upadek jego państwa.

(C. d. n.)

Szakery.

(Z podróży po Stanach Zjednoczonych.)

(Dokonczenie.)

W środku takich rozmów nadszedł wieczór. Ozwał się dzwon wołający na wieczerzę; Szakery prócz Dawida wyszli, a wkrótce potem zaprowadził mnie dziekan do głównego budynku gdzie w pokoiku przytykającym o kuchnię podano mi wieczerze wcale smaczną, przy której zastawiona galareta owocowa była najlepsza jaką jadłem w całej Ameryce. To tylko nie bardzo było przyjemne, że musiałem sam jeść, bo Szakery mimo całej gościnności swojej, nie przypuszczają do stołu swego tylko współwyznawców. Robią oni to nie tylko dla tego, że się za nadto czystych i świętych mają, by mogli z ludźmi światowemi z jednego jeść półmiska, ale głównie dla tego, że spojrzénia i gesta obcych mogą stać się niebezpieczne dla ich płci żeńskiej.

Wróciwszy do oficyn, czytałem przez chwilkę pisaną księgę pieśni Dawida, w której było kilka bardzo dobrych pieśni, obok nie zbyt udałych wybuchów chorobliwej i lunatycznej nieco pobożności. I znowu zatętnił dzwónek, ale tym razem na nabożeństwo.

W towarzystwie dziekana udałem się do głównego budynku i przeszedłszy dywanami wysłane schody w szedłem przez szerokie drzwi szklanne do sali obszernej, ubranej w zwykłe u nich barwy, białę i ciemną. Sała ta miała osiem okien, cztery na wschód i cztery na zachód, i dwoje drzwi; jedne na północ, a drugie na południe. Żadnych w niej niebyło sprzętów prócz dwóch wązkich ławek stojących od głównego wchodu wzdłuż obu ścian, lampy metalowej wiszącej u sufita, i małego niebieskiego dywanika mającego może 4 stóp długości a 2 szerokości, który o kilka kroków od drzwi szklannych na posadzce był rozciągnięty. Dawid postawił dla mnie stołek w jednym rogu sali, w którym prócz mnie i niego znajdywało się tylko kilka młodych dziewcząt od 15 do 18 lat mających. Były między niemi ładne twarzyczki, a nawet pare nieporównanie pięknych oczów madonny godnych. Chichotały się one niezbyt świątobliwie, i zdziwionym wzrokiem patrzały na cudzoziemca. Ubiór ich stanowiły; czypce holenderskie fałdowane z tyłu; niebieska lub szara suknia z krótkim stanikiem a na niej biała ciężko krochmalona chustka na krzyż na piersiach złożona, wisząca trójkątem do poł krzyżów, która zakrywała piersi i szyję aż po samą brodę; nareszcie grube pończochy i ciężkie trzewiki. Strój ten niezbyt je ubierał, przeciwnie młodym nawet postaciom nadawał coś nieruchawego, babiego, drewnianego nawet. Dziewczęta stały polewicy, na stronie niewieściej, a na prawej stronie wnet się przyłączył do nas ów staruszek uprzejmy z czterma wychowankami swemi, między którémi był mały mulata o czarnej wełnianej głowie.

Uderzyła ósma godzina; drzwi szklanne otworzyły się na oscież, i w milczeniu weszła reszta gminy, kobiety na lewej, mężczyzni po prawej stronie. Mężczyzni wszyscy pozrucali swoje suknie, i obydwie płcie stanęły każda z swej strony, we trzy rzędy, na wschód i zachód małego dywanika, oczami do siebie. Obydwie kolumny ukłoniły się sobie, kiwając rękoma w sposób szczególny, poczem ozwał się silny głos męzki, i zaśpiewał piosnkę tu przyłączoną. Po pierwszej zwrotce zawtórowali wszyscy; takt był przyspieszony, a śpiew dosć wdzięczny.

Tam mój ojczysty kraj!
Tam jest miłości raj!
Gdzie przedwieczny tron boski.
Tam tęskni dusza ma,
Gdzie światłość wiecznie trwa,
Gdzie niema skonu ni troski.

Gdzie nieba widać brzeg,
Anielski chór jak śnieg,
Białością swoją świeci:

Tam święty nuci śpiew,
Tam do tych błogich stref
Duch mój leci, duch mój leci.

Dość płaczu będzie, dość,
Już święty idzie gość,
Idzie Zbawiciel świata,
I wilkow hordę złą
Rozpędzi mową swą;
Nam wróci rajskie lata.

Gdzie serafinów chór,
Bogu wciąż nuci wtór,
Tam duch mój mieszkać będzie.
Tam u tych świętych stref,
Tam halelui śpiew
Zanucę w aniołów rzędzie.

Śród tych niebiańskich sal
Nie będzie świata żal;
Bo któżby tęsknił na ziemię?
To co nam ziemia da,
To jedną chwilkę trwa.
Ach biedne ziemskie plemie!

Jak nikły, nocny kwiat,
Znikomy jest ten świat;
Pełno w nim nieszczęść, troski.
Więc w mój ojczysty kraj,
Gdzie jest miłości raj,
Tam idę przed tron boski.

Po skończeniu pieśni ukłonili się znowu sobie nawzajem, i kiwnęli rękoma z wyrazem poddania się, co u siostr mianowicie mających kwadratowo złożone chustki do nosa, na ramieniu zawieszone, dosyć komicznie wyglądało. I rozerwały się kolumny, a wystąpiło z nich dwóch męczyzn i sześć kobiet na środek sali, i wszystkie ośmioro stanęli w dwóch rzędach na przeciw siebie; męczyzni równie jak i za nimi kobiety z twarzami do północy zwróconemi stanęli parami, i zabrali się do tańca czyli raczej marsza. Nagle ozwał się miły głos kobiecy sopranowy, spiewając następującą zwrotkę.

Naprzód, naprzód, ku niebu,
Ku świętej krainie,
La la la, la la la!
A z nami pieśń chwały,
Pieśń dzięków niech płynie!
Nasz Ojciec nas woła
Więc stańmy do koła
Niech imię jego na wieki zasłynie
La la la, la la la.

Z rozpoczęciem śpiewu ruszyły się zebrane pary i zaczęły maszerować szybkim krokiem w koło spiewających, za taktem tej piosneczki, której po pierwszych słowach zawtorowali i drudzy śpiewaki i spiewaczki. W czasie marszu tego mieli łokcie przyciśnięte do boku, ramiona wyciągnięte horyzontalnie, a rękami pokręcali ciągle. Melodyja tej pieśni kilkakroć powtórzonej miała w sobie piętno, jakiegoś tryumfującego zapału a zwrotki la la la, później ha, la, li, i inne temu podobne wykrzyknikowe spiewy, przypominały raczej swiegotania ptaszków, niżeli rytm naszych chorałów. Przy każdem powtórzeniu zapał spiewających zdawał się unosić coraz wyżej i wzmagać się radość tych ku niebu zwróconych wędrowników na widok promieniącej się zdala przed okiem ich duszy, nowej Jerozolimy. Wprawdzie drągalowaty dziekan idący wparze z małym jakimś braciszkiem wolą na szyi obdarzonym, którego brzuch olbrzymio sterczący poły niebieskiej kamizeli do połowy ledwie zakryć mogły, zabawnie bardzo wyglądał, i niemniej do śmiechu pobudzał, jak stara jakaś murzynka, która z swą ciemny twarzą i wywróconemi ustami w białym czypcu podobna do szynki z papierowego zakrycia wyglądajacej, pociesznie dryptała nogami pomiędzy swojemi młodemi towarzyszkami w przedwiekowe stroje ubranemi; a przecież mimo tyle pobudek do śmiechu, szczególne te ruchy połączone z dziwnym tym hymnem sprawiały wrażenie raczej uroczyste, niżeli komiczne, i zaprawdę odrzuciwszy na bok karykatury, widok ten cały mógł by rozbudzić pamięc tych wyznania szakerowskiego wzorow, prorokini i króla Dawida tańcującego przed arką przymierza.

Po pięciu minutach takiego spiewu i tańcu zatrzymali się wszyscy, aby złożywszy ręce cicho się pomodlić, dopóki znowu nie ozwał się chór hucznym hymnem:

Niech płonie, niech płonie
Ta święta w nas siła,
Co w naszem łonie
Czysty ogień wzniecila,
Gdzie święty pala żar,
Zkąd życia płynie dar,
Gdzie oczyszczenia zdrój,
Tam anioł mię wzywa, tam udział mój!

Ruch tańczący był z początku ten sam co pierwej, lecz wnet zmienił się ten ich przyspieszony krok w rodzaj skakania na miejscu z zachowaniem pewnego taktu. Starsze tylko siostrzyczki za słabe zapewne do takiego ruchu, siedząc na ławkach nogami choć kłapały w takt tańczących. Tym sposobem okrążywszy raz jeszcze spiewający chór, zbiegli się wszyscy nazad do dawniejszego ordynku, raz się jeszcze pomodlili, i wyszli przez szklanne drzwi. Takie tańce z muzyką i spiewem powtarzają się tu codzień wyjąwszy piątki, w które to dnie odbywa się na kurytarzu przy drzwiach otwartych rodzaj pobożnej rozmowy. Miałem więc sposobność nazajutrz jeszcze widzieć podobny taniec, przy którym wszakże nie skakano już w kółko, ale podzieliwszy się na dwa wielkie kwadraty (siostry po lewi-

cy, bracia na prawicy) wszyscy postępowali przed siebie od południa na północ, a obróciwszy się wracali nazad we własne prawie ślady. W czasie jednego przestanku Elder Pelham miał przemowę, w której świat niechętnie na tanicc Szâkerów patrzący się, porównał z bratem marnotrawnego syna, który także z gniewem a zawiścią patrzał na uczty i wesele jakiemi przyjmowano długo upragnionego.

Widziałem nareszcie tańczących ich po raz trzeci. Po odspiewaniu wstępnej pieśni, drugi starszy miał mowę napominającą, której zakończenie dało powód owemu tłustemu, niedawno podobno przyjętemu nowicyuszowi do wynurzenia radości, jaką go przejmuje przyjęcie do gminy świętych. Pelham odpowiedział na to stosownie, poczem ozwał się słowiczy głosek jednej ze spiewaczek, i nogi wszystkich w takt się ruszać zaczęły. Rytm pieśni z początku powolny, ślizgający się, przechodził w tony coraz dziksze i furczące.

Niebiańska miłość płynie
    Haleluja, la la la,
Więc dalej i dalej,
Splećmy się razem i płyńmy po fali,
    La la la, la la la,
I stańmy w około
I pijmy wesoło,
Z miłości źródliska
Co nigdy nie ginie,
Ku ludziom wciąż płynie,
Od matki naszej, od życia ogniska.

Coraz głośniej i przenikliwiej świegotały spiewaczki, coraz szybszym pędem kręcili się tancerze w około stołka mego, a twarze taneczników coraz więcej natchnionego nabierały wyrazu. Powietrze zdawało się ożywiać jakąś dziwną elektrycznością; całą gminę opanował zapał bogobojny, pobożne jakieś upojenie. Żar jakiś ognisty zatlał w ich oczach, a na bladych twarzach wyszczerzało się niezgaszone pragnienie łechcące za tą miłością matki, której płynace ku nim fale taniec miał przedstawiać. I cały chór z oczami ku niebu wzniesionemi weselił się takiemi głosy, aż wszystko zda się drzało i huczało.

Gdy nagle jedna z sióstr opuściwszy niedbale ręce zaczęła się sama w około siebie kręcić; za nią druga i trzecia. I braciszkowie jeden po drugim zaczęli je naśladować, i wnet większa część braciszków kręciła się w swoim kółku. Zataczając posuwali się dalej porwani szałem muzyki, by znowu w nowym kręcić się kółku, i to frygowe kręcenie się mające w sobie coś straszliwego, nie prędzej się skończyło, aż gdy kilka kobiet zmęczonych i zasapanych upadło na ławkę. Najstarsi pomiędzy niemi: dziekan, poważne matrony z siwemi włosami, i młode dziewczęta co szkoły jeszcze nie opuściły, wszyscy bez wyjątku należały do tego planetarnego tańca, a nawet brat Harmon, dawny duchowny rozumowy, spróbował kilka nieśmiałych ruchów, aby tańcem siłę swej wiary objawić. Jeden szaleniec przyspieszonym tylko krokiem należał do tej tanecznej uroczystości.

W godzinę później porzuciłem już gościnnych gospodarzy moich, wziąwszy w drogę błogosławieństwo Pelhama, ktory mi życzył abym jak najprędzej w prawdziwej przewidział jasności. Harmon zaś dostał pozwolenie towarzyszyć mi kawał drogi. —

Przez kwadrans może przykre panowało między nami milczenie; nakoniec powtórzył prośbę swoją. Tu już nic mi nie pomogło, musiałem mu odpowiedzieć; i czyż mógłem nie odmówić? Zdaje się że przewidywał taką odpowiedź, prosił mnie więc tylko, abym go w miłej zachował pamięcie, i zamilczał tymczasem powierzone mi prawdziwe jego nazwisko. Chętnie na to przystałem, i przyrzekłem pisać do niego, skoro mi przyjdzie jaka zbawcza dla niego myśl, która by go ratowała nie kompromitując.

Rozstaliśmy się nareszcie. Długo jeszcze widziałem rozrzewnieniem przejęty jego wysoką postać, jak mi zdala wieczornym oświecony zmrokiem kapeluszem swoim pożegnawcze przesyłał znaki. I w kilka dni potem, ile mi razy przyszła na pamięć cicha Szakerów osada, stała mi przed myślą smutna postać nieszczęśliwego człowieka, który w sile wieku będac jeszcze, przymuszony jest pędzić roślinne niejako życie, w którem duch jego musi skurczyć i wyschnąć soki wszystkie żywotne.

Lecz złudzenia wszystkie nikną zwykle, i nagle ostro jak w końcu jakiej poezyi Heinowskiej rozdarła się poetyczna zasłona, która kryła prawdziwą przyczynę, co Harmona wprowadziła między tych derwiszów amerykańskich. Pastor w Cincinnati, gdy mu opowiedziałem mój pobyt w mieście Szakerów i zdarzenia moje w nim, skoczył nagle i klasnąwszy w ręce zawołał:

— Co u Boga! Taż to przecie diabeł prawdziwy, którego już ze trzech gmin wypędzili, bo on zawsze pare razy na miesiąc upajał się wódką aż do wściekłości.

Rozmaitość.

* W niedzielę odbyło się zapowiedziane juz poprzednio przez nas solenne nabożeństwo w nowo restaurowanym kościółku Ś. Jana pod górą F r a n c i s z k a J ó z e f a. Celebrował x. kanonik Jasiński. Wieczorem zaś w sobotę odprawiono w tym kościółku nieszpory z procesyą w koło kościoła.

* Panna Bzowska słynna fortepianistka, o której czytaliśmy po gazetach tyle pochwalnych artykułów, i która występowała już w Wiedniu, ma przybyć do stolicy naszej, i w publicznym wystąpić k oncercie.

* Dnia 3 czerwca umarł w Gdańsku znany nam wszystkim doskonale *Mrongowijusz* (Krzysztof Celestyn) autor słownika niemiecko-polskiego, i polsko-niemieckiego, na którym trzy przynajmniej już pokolenia studiowały szkolne penza swoje. Znakomity ten i wielce szanowany z prawości swojej mąż umarł w 91 roku życia swego. Prócz słownika był on autorem wielu pism duchownych, filologicz-

nych i elementarnych w języku polskim, i tłumaczem dzieł filozoficznych z greckiego i niemieckiego języka. Był on pastorem Gdańskiej gminy Ewangelickiej polskiej, a dawniej nauczycielem języka polskiego przy tamecznym gymnazyum.

* W Moskwie spadł nagle z wieży ś. Iwana w czasie dzwonienia sławny ów dzwon ważący 2000 pudów (80,000 funt.) z powodu przełamania się przytrzymujących go klamer. Spadając ze znacznej wysokości przebił trzy sufity i trzy sklepienia, pięciu ludzi zabił na miejscu, trzech zranił niebezpiecznie a czterech mocno pokaleczył.

* Fabrykant jakiś w Lugdnnie wynalazł po długich doświadczeniach sposób mieszania do nici jedwabnych, złoto, skło, a nawet żelaza. Wyroby takie mają być co do gustu cudownie piękne. i nadzwyczaj delikatne, tak dalece że można je używać na suknie kobiece i na obicia rozmaitych sprzętów, a ceny nie są zbyt wielkie. Tę także mają dogodność, że choć się zużyją, nie traca zupełnie wartości swojej, bo po spaleniu zostanie przecie złoto i srebro.

* Wincenty Makowski muzyk z Praskiego konserwatoryum, który jest teraz nauczycielem muzyki u hr. Stadnickiego w Krysowicach prodnkował się na pokojach Jego Cessarskiej mości; na cytrze Gra jego na tym mało dotąd znanym instrumencie wzbudziła podziwienie przytomnych.

Przyjechali od dnia 21. do 24. Czerwca do Lwowa.

Drdacki Maurycy z Wiednia. Czerwiński Jan z Remizowiec. Dzieduszycki hr. Aleksander z Lachowic. Romaszkan Zygmunt z Uberzec. Treter Hilary z Dzwiniaczy. Borkowski Mieczysław z Mielnicy. Jabłonowski Józef z Dołhego. Bartmański Józef z Żółkwi. Rozwadowski Erazm z Haiki. Kunaszewski Władysław z Kutyszcz.

PP. Krzeczunowicz Ignacy z Jaryczowa. Golejewski Kornel hr. z Zboisk. Czajkowski Jan z Kamionki. Chwalibóg Jan z Lipowic Malczewski Julian z Skwarzawy. Malczewski Henryk z Gniłowody. Morawski Konstanty z Podhorzec. Wolański Mikołaj z Pauszówki. Ośmiałowski Szymon z Janczyna. Poniński książę Kalikst z Czerwonogrodu. Skolimowski Julian z Cynisk,

PP. Antoniewicz Wicenty z Skwarzawy. Sozański z Grabowiec Lewicki hr. Kajetan z Wiednia. Piączykowski Wiktor z Medwedowa. Tenczarowski Tomasz z Brzeżan. Dzieduszycki hr. Zygmund z Medowa. Błotnicki Wojciech z Wiednia. Rudnicki Teodor z Strzałki. Głogowski Artur z Bojanieć. Tchorznicki Jan z Dąbrowy ruskiej. Podlewski Szczepan z Perepletnik. Orłowski Hypolit z Olechochowiec. Melbachowski z Niedzielski. Kalikst Orłowski z Lisowic. Oktawiusz Orłowski z Lipowic.

Wyjechali od dnia 20. do 21. Czerwca ze Lwowa.

PP. Terlecki Felix do Skorod. Gross Piotr do Koniuszek. Romaszkan Józef do Siemakowieć. Wronowski Józef do Sosnisk.

PP. Kułakowski Kasper do Hanowic. Thullie Jan do Mokrzan wielkich. Baworowski Wacław hr. do Krakowa. Łączyński Hipolit do Liska. Kleczkowski Felix do Skomorochy. Mier Felix hr. do Bruxelli. Jaroszyński Józef do Krzywego. Potocki Stanisław hr. do Raju. Skarbek Władysław hr. do Tarnopola.

PP. Mikuli Krzysztof do Zakrzewca. Strzelecki Eugeniusz do Wyrowa. Kakowski Jan do Tarnopola. Kielanowski Felix do Żelichowa. Turczyński Jan do Żółkwi. Chmielowski Karol do Buska. Duchnowski Piotr do Żółkwi. Jasiński Adam do Żółkwi. Hubicki Karol do Ozydowa. Hubicki Zygmund do Nahorzec. Bystrzanowski Leopold do Makuniowa. Stankiewicz Szczepan do Podliska. Niezabitowski Włodzimierz do Koropusza. Dzwonkowski Edward do Tarnowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 22. b. m. o g. 2 popołud

Augsburg za 100 złr. .	$124\frac{5}{8}$	Pożyczka 5% $78\frac{5}{8}$ $4\frac{1}{2}$	$68\frac{7}{8}$
Hamburg za 100 tal. banco	$90\frac{3}{4}$	Akcye banku	1010
Londyn za 1 funt szterl.,	12 3	Kolej północna	2040
Medyolan za 300 lirów	$123\frac{3}{4}$	Obl. ind.	—
Paryż za 300 franków .	$144\frac{5}{8}$	Nowa pożyczka z loterya	$101\frac{7}{8}$
Agio duk. ces. . . .	$29\frac{1}{2}$	Pożyczka narodowa . .	$83\frac{13}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówka towarem.

	Gotówka złr.	kr.	towarem złr.	kr
Dukat holenderski	5	47	5	49
Dukat cesarski	5	50	5	52
Półimperyał zł. rosyjski	10	—	10	5
Rubel srebrny rosyjski	1	56	1	57
Talar pruski	1	50	1	52
Polski kurant i pięciozłotówka	1	30	1	24
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	93	—	93	15
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	70	30	70	45
5 proc. pożyczka narodowa	83	—	83	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**